

Wielkanoc. Korzenie tradycji.



Włodzimierz Wójcik

Minęła Niedziela Palmowa. Przed nami Święta Wielkanocne, będące najpierw znakiem bezgranicznego cierpienia, a potem symbolem Zmartwychwstania, odradzania się, tryumfu życia nad śmiercią. Okoliczności sprzyjają więc refleksji i wspomnieniom. Ten klimat przedświąteczny łączy w zasadzie wszystkich – zarówno głęboko wierzących, jak też i tych, którzy są mniej aktywni w odbywaniu praktyk religijnych. Tradycja – wspaniałe spoiwo łączące naród – odgrywa i w tej dziedzinie istotną rolę.

Wielkanoc znaczone jest wiosenną aktywnością przyrody; pojawiają się złociste mlecze, na łąkach pękate główki żółtych kaczeńców; na miedzach, w parkach i w lasach pęcznieją wierzbowe kotki, które – wraz z gałązkami – są przecież swoistym ekwiwalentem południowych palm. To wiosenne święto kojarzy się także z nieprzebraną gamą zapachów płynących z gospodarstw domowych. W okresie Wielkiego Postu mięs nie jadano, ale pracowicie i niezwykle precyzyjnie przygotowywano na same święta wyroby wędliniarskie. W sadach przydomowych godzinami dymiły wędzarnie, w których palono drewnem drzew owocowych, aby kiełbasy czy szynki cudownie i apetycznie pachniały i miały złocisto-brązowy kolor. Tej zasady pilnowano jak oka w głowie. Pracowały – usytuowane przeważnie w sieniach – chlebowe piece, którymi zarządzały zwykle babcie – fenomenalne znawczynie procesu najpierw tak zwanego „zarabiania”, a potem wypiekania. Zapachy idące z pieca chlebowego, unoszące się nad podwórkami, nawet nad łąkami, nie mogą być zapomniane. Nie sposób pomyśleć o Wielkanocy bez tradycyjnych bab różnego kształtu, koloru, smaku. Baby wielkanocne – to prawdziwy rarytas. I słynne mazurki. Wielokolorowe, formowane w pomysłowe wzory pisanki; ze łąkami tarte laski chrzanu z domowego ogrodu, dziesiątki innych łakoci, bez których nie można było się wybrać z koszyczkiem wiklinowym do kościoła... O tych wszystkich doznaniach dzieciństwa i młodości – obrazach, zapachach, smakach – myślę dzisiaj, w świecie już nieco zurbanizowanym i zunifikowanym, poddanym – co jest zrozumiałe – naturalnym przeobrażeniom. Myślę też o tych minionych już latach, kiedy to dawno, w klimacie przedświątecznych krzątania, wraz z ojcem odwiedzałem rodzinę i przyjaciół

wędrując - na zasadzie „wpadnięcia na chwilę” po jakiś drobiazg - po Łagiszy, Będzinie, Dąbrowie Górniczej, Sosnowcu, Groźcu, czy Czeladzi. Dziś ten obszar nazywam za Broniewskim „najbliższą Ojczyzną”. W czasie tych krótkich wizyt prowadziło się rodzinne negocjacje. Trzeba było przecież wyraźnie ustalić, u kogo gościmy się w pierwszy dzień świąt, u kogo zaś w dzień drugi, przebiegający zwykle pod znakiem śmigusu... W Wielką Niedzielę spędzało się zazwyczaj czas z rodziną najbliższą. To była pewna zasada. W gronie rodziców, dziadków, cioć i wujów zasiadało się do stołów, które kusiły wieloma barwami, smakami i zapachami. Tradycyjne jajka były najważniejsze, gdyż one właśnie stanowiły naturalną przyczynę składania sobie życzeń. Dzielenie się święconym jajkiem, barwinek na lnianym obrusie, pierwsze kwiaty wiosny w przezroczystych wysokich wazonikach, lukrowane baranki - to wszystko wraca we wspomnieniu jak żywe...

W lany poniedziałek rygory już nie istniały. Dorośli zwykle mieli swoje sprawy, dzieciaki raczej hasały do woli, cieszyły się wiosną, swobodą i czekały na taką pogodę, aby jak najszybciej móc biegać po łące „na bosaka”. Przypominam sobie śmigusówki - wąskie i wysokie butelki z pachnącą wodą kolońską... Były czymś w zasadzie nikogo nie kropiono.

Wiadra z wodą ze studni czy strumienia wchodziły oczywiście w grę. Chłopcy polewali zaprzyjaźnione dziewczęta, swoje rówieśnice, w klimacie radości i przyjaźni. Nie do pomyslenia było jednak atakowanie wodą przygodnych przechodniów ubranych wizytowo. Nie pisane nigdzie normy postępowania ściśle obowiązywały. Może do tych zasad warto byłoby wrócić. Radosny żywioł z pewną elegancją zachowania się można przecież całkiem łatwo pogodzić...

Każdy z nas, kto we wspomnieniach dzieciństwa i młodości odnajduje - w momencie refleksji i skupienia - tego rodzaju obrazy, a więc jest wyposażony w swego rodzaju zasób tradycji, może się uważać za człowieka bogatego. Wówczas dobrze wie, skąd pochodzi, z jakich korzeni wyrasta. To, co w tej tradycji wspólne dla wszystkich Polaków - łączy nas ze sobą. Zaś to, co jest różne, a więc charakterystyczne dla jakiegoś regionu wyłącznie, wzbogaca wszystkich, czyni życie barwniejszym i ciekawszym. Z posagiem tradycji łatwiej jest iść ku przyszłym dniom i latom. Łatwiej też znosić przeciwności losu... A przecież takie przeciwności są także naturalnym składnikiem kondycji ludzkiej... Nic na to się nie poradzi. Warto jedynie przeczytać cztery wersy utworu Jana Twardowskiego O wielkanocnym poranku:

*Poranek wielkanocny wszystko przemienił,
nie ma więcej cmentarza, grobu i kamienia.
Świat stał się samym światłem i wprost w okna świeci,
skacze złotym zajączkiem w dobre ręce dzieci. [...]*

